

Przebój

AUTOR: DOMINIK GAC

Glory Game Sticky Fingers Club opowiada o sporcie, czyli o dyscyplinie ciała i wysiłku, ale też o brutalnej rywalizacji – nie tyle o rekordy i medale, ile o uwagę. Zmagania na scenicznej arenie są w gruncie rzeczy jeszcze jedną opowieścią o sukcesie. Jego pragnieniu i kosztach.

■ Sticky Fingers Club to grupa, o której jeszcze wczoraj mówiło się offowa, dziś – modna, a za chwilę najlepszym określeniem będzie – gwiazdorska. Ich trzeci spektakl, wyprodukowana w Komunie Warszawa *Glory Game*, to przebój. Spodziewany zresztą. Już pierwsza i założycielska dla kolektywu realizacja pod tytułem *Sticky Fingers Club* (2020) zachwycała tańczącą sprawnością i choreograficzną wyobraźnią, tchnęła świeżością, skumulowaną energią zespołu oraz dystansem do samych siebie i profesji, którą artyści wybrali i z ciepłą ironią tematyzowali. Nie byle jacy artyści: Dominika Wiak, Daniela Komędera, Dominik Więcek, Monika Witkowska. Znają te nazwiska wszyscy, którzy interesują się współczesnym teatrem tańca. Ta szufladka bywa kontrowersyjna i przez tancerzy nie lubiana. Piszę się dziś raczej o nowej choreografii. Spektakle SFC są w oczywisty sposób choreograficzne, jednocześnie pozostają teatralne. Fakt, ostatni najmniej. Być może to odbicie od wyraźnie teatralnego poprzednika, a właściwie poprzedniczki. *Valeska Valeska Valeska* (2022) powstała we współpracy z reżyserką i choreografką Dominiką Knapik oraz dramaturżką Patrycją Kowańską, co zaowocowało przedstawieniem, w którym również tekst grał rolę.

W *Glory Game* także pojawiają się osoby spoza kwartetu: Natalia Dinges i Piotr Stanek uzupełniają obsadę, opiekę dramaturgiczną sprawuje Konrad Kurowski. W spektaklu nie pada ani jedno słowo, sensy i tematy wynikają z ruchu (choreografem jest Więcek), kostiumu (Weronika Wood) i scenografii (Mateusz Mioduszewski), no i z miejsca, czyli dawnej sali gimnastycznej w szkole podstawowej przy

Emilii Plater, której budynek jest aktualnie siedzibą Komuny. Domyślne lamperie, drabinki i tablice do gry w kosza – to wszystko wciąż tu istnieje. A że niewidzialne? To mniej ważne – paradoksalnie, bo przecież *Glory Game* jest opowieścią o widzialności. O narracji kamer i efektów specjalnych, które ją kształtują. O tym wszystkim, co przywykliśmy traktować jako naturę transmisji sportowej. Jest przecież *Glory Game* o sporcie. To znaczy o dyscyplinie ciała i wysiłku, ale też o brutalnej rywalizacji – nie tyle o rekordy i medale, ile o uwagę. Zmagania na scenicznej arenie są w gruncie rzeczy jeszcze jedną opowieścią o sukcesie. Jego pragnieniu i kosztach – w tym sensie nowe przedstawienie jest rozwinięciem dwóch poprzednich, zwłaszcza debiutu, w którym artyści przyglądali się porażce, niedosytowi i niespełnieniu, a także jadowitej presji, która tkwi w artystycznej rywalizacji. Ale można *Glory Game* odczytać również jako pytanie: czy sukces jest w ogóle możliwy, a jeśli tak, co naprawdę oznacza? Kostium tej opowieści jest sportowy, bo i performerzy mają za sobą doświadczenie uprawiania różnych dyscyplin, trenowania i startowania w zawodach; ale dziś chodzi im raczej o hierarchie artystyczne, które wciąż bardzo silnie determinują rynek sztuki. No właśnie – rynek. To jemu przyglą-

dali się w dwóch poprzednich realizacjach. Zadając pytania o możliwość wyłomu w regułach gry. W *Glory Game* tego pytania nie dostrzegam, co odczytuję pesymistycznie. Nie ma sensu go powtarzać, ponieważ odpowiedź jest znana i niezmienna. Tak jak reguły.

Spektakl zaczyna się długą i hipnotyczną sekwencją, w której nadzy artyści biegają od krawędzi do krawędzi wysypanego piaskiem kwadratu. Poruszają się w zwolnionym tempie. *Slow motion* będzie konsekwentnie utrzymywane do końca przedstawienia. Jest w tym pewien rygor, pewna dyscyplina. Ale też intensywność, do której widz – jeśli zechce – może się podpiąć. Odruchowa koncentracja na ciele jako obiekcie wolnym od dyktatu atrakcyjności, wpatrywanie się w jego fragmenty, w pracę mięśni, w to niesamowite napięcie, które poprzez natężony wysiłek prowadzi do niezwykle lekkości – piasek pod stopami performerów wydaje się niemal niewzruszony – ale również zachwyt nad ciałem jako obiektem estetycznym. To wszystko ustępuje, bo ja wiem, metafizyce? Może to i zbyt prosty symbol – nadzy ludzie biegnący w tę i w tę, bez końca, bo i jaka może ich, czyli nas, czekać meta? To akurat wiadomo. Piaszczysta właśnie. Ale czy będzie na niej jakakolwiek nagroda? Raczej nie. Nie będzie też kary. Egzy-

Ten, kto zwycięża, ten się uwalnia. To oczywiście kłamstwo i o tym kłamstwie także jest *Glory Game*. Czy zwycięstwo oferuje coś więcej niż chwilowy endorfinowy haj? Na jak długo starcza satysfakcji? Jak szybko konieczna jest kolejna wygrana?

stencja nie jest decyzją umotywowaną kijem czy marchewką, ani nawet zbiorem decyzji, które mogłyby ułożyć się w jakiś zależny od nas plan działania czy świadomie kształtowany proces. Jest obowiązkiem, a właściwie przymusem. Wiele nad egzystencjalizm nie wymyślono.

Sport i treść, którą ów ze sobą niesie, wydają się równie pożywne co filozoficzne teksty. I nie trzeba nawet wspominać o greckich ideałach łączących sprawność fizyczną z umysłową, bo przecież do tych antycznych obrazów odsyła nas nagość performerów. Nie trzeba też mówić o umiłowaniu Alberta Camusa do piłki nożnej – nauczycielki moralności i powinności. SFC, choć klub, gry zespołowe pomija. Liczy się to, co indywidualne. Każdy z osobną koroną jest stworzenia. Możemy więc, korzystając ze skryptów, które uruchamia sport, poddać się naturze nagiego życia poprzez koncentrację na nim samym – na nieprzerwanym wysiłku. Tak rozumiem skupione i zacięte twarze performerów w pierwszej części spektaklu. Możemy też nadać wysiłkom inny sens, uwolnić się od rygoru podiumowych stopni – wykreować własny model tryumfu. Ten, kto zwycięża, ten się uwalnia. To oczywiście kłamstwo i o tym kłamstwie także jest *Glory Game*. Czy zwycięstwo oferuje coś więcej niż chwilowy endorfinowy haj? Na jak długo starcza satysfakcji? Jak szybko konieczna jest kolejna wygrana? I czym to zapętlenie miałoby się różnić od innych, którym ulegamy z dala od sportowych aren – w tak zwanych karierach, związkach, przyjemnościach?

Nagi bieg przeradza się w część drugą – bardziej widowiskową. Zawodnicy wyjmują spod piasku ubrania. Dinges znajduje także medal i jako pierwsza odgrywa ten charakterystyczny numer – radość zawodnika z tryumfu. Manifestacyjnie przekracza granicę pomiędzy sportem a występem. O ile taka granica wciąż istnieje. Performatywny wymiar zawodów sportowych jest oczywisty. Wyrażone są też konkretne estetyczne kody, którymi posługują się sportowcy. Widać to zwłaszcza w celebracji zwycięstw. Zawodnicy stają twarzą do trybun – już nie tylko działają w obecności kibiców, ale także zwracają się wprost do nich. Radości zwycięzców i opuszczone głowy pogiębionych – powtarzalne jak w komedii dell'arte. Z tą różnicą, że role się zmieniają, nikt nie zostaje zwycięzcą lub przegranym permanentnym. Zapamiętałem zwłaszcza tryumfalny i bezczelny uśmiech Komędzy, która właśnie pokonała... Witkowską? No właśnie, przegranej już nie zapamiętałem. Rzecz robi się coraz bardziej slapstickowa i brutalna. Performerzy chwytają rywali za ubrania, podstawiają nogi, wyprowadzają ciosy i robią uniki. Wszystko – niezmiennie – w *slow motion*. Efekt jest oczywiście komiczny, ale nieustanne powtarzanie dowcipu sprawia, że zaczynamy wątpić w jego żartobliwość. Przestaje być śmieszny, staje się męczący. Można w tym widzieć dramatyczny mankament – albo przeciwnie: bolesne odsłonięcie zapętlenia, w którym wszyscy funkcjonujemy.

Przebój to jedna z dyscyplin artystycznego wieloboju. Sukces jest co prawda obligatoryjny, ale gdzieś obok wciąż tkwi możliwość zawodu. Nie ma od tej dychotomii ucieczki, choć pojawiają się co jakiś czas postulaty, które zachęcają do przyjrzenia się porażce i zerwania z bezlitosnym systemem wydajności i produktywności. Czcze gadanie. Zwłaszcza w sztukach choreograficznych. *Glory Game* gra z naszymi widzowskimi przyzwyczajeniami, stymuluje krytyczny namysł – to wszystko prawda. Ale służy również do podziwiania sprawnych ciał. Jest popisem. Nic w tym złego. Odsłonięcie, a właściwie obnażenie, które proponują artyści, okazuje się wielopoziomowe. Widzimy je w początkowej nagości, w zapętlonym splocie radości i walki, który stanowi drugą część spektaklu, wreszcie w przestrzeni – w wykraczaniu poza arenę, znikaniu za kotarami po bokach i z tyłu sceny, które, zrywane w finale, odsłaniają prawdę o miejscu, w którym się znaleźliśmy. Gdy artyści kłaniają się w uśmiechach, a publiczność urządza im owację, ja patrzę na odsłonięty fragment tablicy do kosza. Pozbawionej siatki, pozbawionej piłki. Bez-użytecznej, ale przecież wyznaczającej cel. Tam – wysoko. Tam trzeba mierzyć i rzucać, choćby po odbicie, choćby bez punktu. ■

Sticky Fingers Club

Glory Game

reżyseria, choreografia Dominik Więcek

premiera w Komunie Warszawa

15 grudnia 2023

Glory Game, reż. i choreogr. Dominik Więcek, Sticky Fingers Club, Komuna Warszawa (2023)

